

„Ileż rodzin nie rozłączonych  
W słońcu się wspólnie roi!  
Idą – z tej i tej strony,  
Obcy, obcy, nie moi.”

Maria Pawlikowska-Jasnorzewska

## Coś ty zrobiła, Stawińska?

Powietrze było dziwnie ciężkie. Poczuł, że musi przystanąć i naprawdę skupić się na zrobieniu oddechu, żeby tlen faktycznie dotarł do jego mózgu. Zdziwił się, bo to właśnie lekkie, górskie powietrze było jego ulubionym aspektem miasteczka. Była to również jedyna cecha, która pozostawała niezmienna, odkąd odwiedzał te strony jako chłopiec. Nawet wtedy mógłby spędzać całe dni na niczym oprócz oddychania. Przy każdym zachłannym, nienasyconym tchnieniu czuł się, jakby wysysał powietrze z całego miasta, z każdej doliny, a nawet z płuc wszystkich mieszkańców. Czasem wchłanianie takiej ilości wydawało mu się aż egoistyczne w stosunku do reszty stworzeń. Ale skoro nawet tutaj powietrze staje się ciężkie... Nie pozwolił sobie na dokończenie myśli – dokonał szybkiej autokorekty, nie dopuszczając do siebie, że powietrze może aktywnie zmieniać się na gorsze, stawać się brudne. To wrażenie było, musiało być, jednorazowym złudzeniem nieperfekcyjnych zmysłów. Podniósł wiadra wody, które odstawił na ziemię, by odetchnąć i ruszył w kierunku chaty babci. Przeszedł koło nieużytkowanych uli, które postawił kiedyś Artur, syn Aldony. Chociaż farba już dawno wyblakła, widać było wyraźnie, że pierwszy był niebiesko-żółty, jak flaga Ukrainy. Drugi skojarzył mu się ze słońcem, dotykającym delikatnie tafli morza. Wyśmiał w duchu swoje romantyczne porównanie, gdyż w istocie był po prostu żółto-niebieski, jak odwrócona flaga Ukrainy. Minął ule i skierował się do chatki.

Dom babci był mały, zdecydowanie w potrzebie mniejszych i większych robót. Drewno pokrywające zewnętrzne ściany pokoju dziennego było miejscami przemoknięte, nie wspominając już o drewnie, z którego zbudowana była szopa, przylegająca do zachodniej strony domu. Tamto wręcz zapadało się przy dotknięciu. Przez nieprzyjemny zapach zawsze unikał przechodzenia obok, a gdy babcia wysyłała go do środka po kukurydzę dla kur, zawsze wstrzymywał oddech. Jednak dom wzbudzał w nim sympatię. Nawet śmierdząca szopa. Doszukiwał się specyficznego uroku w wbieganiu w paszczę stęchlizny i pospiesznym szukaniu worka z kukurydzą. Wydawało mu się to niezwykle ludzkie. Sam dom był brzydki i zaniedbany, ale to też w ogóle mu nie przeszkadzało, wolał go takiego. Pewnie to przez to

podświadomie uparcie odkładał w czasie wszystkie drobne remonty, o których wykonanie prosiła go babcia. Nie chciał zniszczyć autentycznej aury, która emanowała z tego miejsca. Myślał, że gdy tylko naprawi przeciekający daszek nad drzwiami wejściowymi lub naoliwi skrzypiące drzwi, dom stanie się nieironicznie brzydki. Jest coś specyficznego w brzydocie, która wynika ze świadomie podjętej decyzji, świadomego zaniedbania. Człowiek, który w pełni akceptuje życie pokryte kurzem, w otoczeniu porzrzucanych książek, uschniętych roślin i brudnych talerzy, jest spokojny. Nie stara walczyć z korozją i zepsuciem, od których przecież nie ma ucieczki. W chwili, w której stara się wyjść brzydocie naprzeciw, chcąc poskromić ją naprawianiem dachów i naoliwianiem zawiasów, staje się ona nie do zniesienia. Pozostawiona sama sobie jest całkowicie cicha, lecz kiedy zacznie się ją poskramiać, coraz mniejsze jej części podnoszą krzyk. Po naprawieniu luźnego panelu podłogowego, zaczyna zawracać na siebie uwagę każda pojedyncza rysa. Po wytarciu wielkiej plamy nieokreślonego pochodzenia z kuchennego parapetu, każdy okruch staje się widoczny. Kiedy brzydotę uznaje się za wroga, który wymaga zwalczania, bezpowrotnie zanika pokojowa symbioza między człowiekiem a niedoskonałością jego otoczenia. Tym samym spokojna aura zaakceptowanej brzydoty ucieka bezpowrotnie. Tego bał się Igor.

Położył wiadra koło drewnianej ławeczki, stojącej przed domem i otarł czoło. Nawet się nie spocił, ale gest wydawał mu się naturalny. Jego uwagę przykuł garnek, pewnie o mięsnej zawartości, stojący na zewnętrznym parapecie okna. Był to metalowy rondel, na którym odbite były tłuste odciski palców, i na którym spoczywała niepasująca porcelanowa przykrywka. Przeszła mu przez głowę śmieszna myśl. Cofnął się parę kroków żeby objąć wzrokiem cały dom. Dwa okienka, między którymi stała ławka, przypominały oczy potwora. Skoro okna to oczy, pomyślał, to ławeczka jest ustami. Szkoda mu było, że przez swoją prostotę nadawała potworowi raczej robotyczny wygląd. Gdyby kłoda, z której była zrobiona, była choćby trochę powyginana, potwór mógłby być nawet zabawny. Teraz zdawał się patrzeć przed siebie wyłupiastymi, kwadratowymi oczami. Zastygnięty w beznamiętności, niezdolny do krzyku przez zaciśnięte usta, nieubłagalnie trawiony przez każdą upływającą sekundę. Igor podniósł garnek i odłożył go na ziemię, by nie zasłaniał potworowi widoku na ukraińskie ule. Otworzył drzwi do małego przedsionku i zdjął obuwie, zahaczając podeszwą jednego buta o piętę drugiego. Zawsze, gdy wchodził do domu, jego wzrok przykuwała groteskowo wielka figurka, stojąca przy wiklinowym koszu na łyżki do butów. Była to postać świętego Ambrożego wykonana z drewna jesionowego, którą Aldona dostała od swego syna, Artura. Igor przez długi czas zastanawiał się, czemu ze wszystkich dostępnych świętych, wybrał akurat tego –

nieznanego starca ze śmieszną laską. Wszystko stało się jasne, gdy czystym przypadkiem dowiedział się, że Ambroży jest patronem pszczelarzy. Od razu zrozumiał, że zarówno ule, jak i figura były prezentami od Artura dla samego siebie. W obcej przestrzeni, którą stała się dla niego gnijąca chatka jego gnijącej matki, potrzebował obiektów, w których mógłby się zakotwiczyć. Z każdą wizytą coraz słabiej rozpoznawał w starej, zgarbionej kobiecie osobę, którą wcześniej była, a im dłuższa była przerwa między jego odwiedzinami, tym dłużej zajmowało mu utożsamienie ze sobą tych dwóch postaci. Na pierwszy rzut oka staruszka zawsze wydawała mu się zupełnie obca. Musiał skupić całą swą uwagę na małych, znajomych elementach, by przekonać swój umysł, że oto stoi przed nim Aldona Stawińska, jego matka. Wpatrywał się w jej grube, bursztynowe korale, które przecież pamiętał z dzieciństwa. Tyle, że wtedy zawsze wisiały na eleganckiej, pasującej do nich bluzce, a dziś kontrastowały ze zmechaconym swetrem, który lata temu pewnie był biały. Teraz mógłby ująć co najwyżej za popielaty. Artur, patrząc na całokształt twarzy matki, nie potrafił zobaczyć osoby kryjącej się za nią. Musiał rozłożyć ją na czynniki pierwsze. Kolejno analizował to nos, to brwi, to uszy. Były inne niż kiedyś – nos pokrywały wielkie pory, płatki uszu były obwisłe, a z brwi pozostało co najwyżej kilka włosków. Jednak za każdą częścią krył się jej oryginalny kształt, który pamiętał z dzieciństwa. Te, które Artur miał przed sobą, były jedynie odbiciami na ścianie jaskini. Przynajmniej tak tłumaczył to sobie w duchu.

Strach wywołał w nim potrzebę ujarznienia wrogiej przestrzeni, odzyskania kontroli. To wtedy postawił dwa ule. Pomalował jeden na niebiesko-żółto, na drugim namalował słońce zachodzące nad Bałtykiem, po czym wprowadził do obu gromadkę pszczół miodnych. Najbardziej doceniał to, że dzięki nim mógł gładko zmienić temat. Zamiast słuchać o coraz liczniejszych schorzeniach matki, które wprawiały go w niezmierny dyskomfort, opowiadał o cechach charakterystycznych gatunku *apis mellifera* i o kwiatach, których pyłek zbierają. Nie dawał matce dojść do słowa, a gdy kończył swój monolog, donośnie uderzał dłońmi w uda, podnosił się z fotela i kierował w stronę wyjścia. W momentach, w których czuł się (bardziej niż zwykle) przytłoczony obcą kobietą, z którą pił herbatę i jadł kupne ciasteczka, wychodził na dwór oglądać swoje pszczoły. Przy nich mógł zebrać się w sobie, by za chwilę wejść z powrotem do chatki i oznajmić, że „musi już lecieć”. Jednak któregoś dnia rój po prostu zniknął. Artur tłumaczył Igorowi, że musiały znaleźć dogodniejsze miejsce dla kolonii, więc porzuciły stare. Takie sytuacje były rzadkie, lecz na nieszczęście Artura, nie niemożliwe. Kiedy pszczoły odeszły, przywiózł świętego Ambrożego. Dziecinna próba zastąpienia zgubionej zabawki nową. Szybko okazało się, że jego patronat nie jest w stanie pomóc. Jego obecność

wcale nie zapewniała intruzowi poczucia bezpieczeństwa. Drewno jesionowe nie wchłaniało swędu starości. Artur przestał przyjeżdżać.

Przechodząc z przedsionka do części mieszkalnej, Igor głośno oznajmił, że przyniósł wiadra z wodą, o które prosiła go babcia. Słyszał jak przekłada talerze, mrużąc coś do siebie, ale nie uzyskał odpowiedzi. Skierował się do kuchni i ujrzał Aldonę. Odwrócona do niego plecami, wyjmowała talerze z jednej szafki i przekładała do drugiej. Przechodziła z miejsca w miejsce, powłóczając ciężkimi nogami. Im bliżej do niej podchodził, tym wyraźniej słyszał, co do siebie mówi.

- Tak nie może być – mówiła podnosząc talerz z półki A. – Wszystko poprzestawiali.

Obracała naczynie w starych, lekko rozdygotanych dłoniach i kierowała się w stronę półki B. Kiedy nachyliła się, by je odłożyć, Igor ponowił swoje oznajmienie donośniejszym tonem.

- Nikt w tym domu nie szanuje mojej pracy. Wszystko poprzestawiali – szepnęła babcia i odkaszlnęła.

Igor już się przyzwyczył. Wiedział, że babcia nie dosłyszcy. Wiedział też, że nie do końca rozróżnia, kiedy myśli, a kiedy mamrocze pod nosem. Podszedł więc bliżej i delikatnie dotknął jej przedramienia. Poczul jak przeszedł ją dreszcz. Nie była już w stanie odwrócić się jednym ruchem, więc zaczęła się stopniowo przekręcać, delikatnie drepcząc wokół własnej osi. Już gdy była zwrócona w jego kierunku jedynie profilem, dostrzegł jej wykrzywiony od płaczu grymas. Słyszał dźwięczne, gardłowe łkanie, które przypominało odkaszliwanie flegmy. Czul drobinki śliny, które uderzały jego twarz przy każdym załkaniu. Widział wilgotne plamy zarówno po łzach zaraz pod dekoltem swetra, jak i po wydzielinie z nosa na rękawach. Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, wyciągnęła w jego kierunku zwiotczałe ramiona i wyszeptwała: „Artur”. Często zdarzało się jej nazywać wnuka imieniem syna. Nawet to wołał, „Igor” w jej ustach brzmiało obco. Zawsze kładła zbyt duży nacisk na literkę „I”, czego geneza stanowiła dla chłopaka zagadkę. Ręce z wysiłkiem uniosły się wystarczająco, by zamknąć go w uścisku.

I poczul obrzydzenie. Nie mógł znieść tego uczucia, chciał wyjść ze swego ciała i wyrwać serce z klatki piersiowej tego korpusu, który śmie odczuwać obrzydzenie w tej sytuacji. W momencie błagalnego wyciągnięcia rąk starszej kobiety w poszukiwaniu czegokolwiek, choćby krzty współczucia. Może nawet pobłażania. Ale spotkać się z obrzydzeniem? Niewybaczalne. Potworne i niezrozumiałe. Myśli Igora były go po twarzy i spluwały mu pod

stopy. Czuł się jak zdrajca, anonimowy szpieg, który ujęty w słabe objęcia babci wydawał się jej ostoją, a w środku skrywał swe prawdziwe oblicze. Nie mógł zrozumieć, skąd biorą się u niego takie myśli. Przecież wiedział, że okazywanie emocji wcale nie oznacza słabości. Dlaczego więc czuł taką przewagę? Dlaczego czuł się ważniejszy, lepszy? Nawet jeśli nie odczuwał miłości, powinien zrównać się z nią w geście zwykłej, ludzkiej solidarności, ale nie. Nie był w stanie. Ciekawe, co zrobiłaby Aldona gdyby cichy głos wyszeptał jej do ucha myśli jej wnuka. Jako stara wierząca kobieta pewnie uznałaby, że to diabeł.

Rozluźniła uścisk i spojrzała wnukowi prosto w oczy. Przez chwilę, która wydawała się wiecznością, spoglądali na siebie. Nagle dojrzał jak jej trzeźwe, rozumne oczy zachodzą mgłą. Oto Aldona znowu spogląda na niego jej zwykłym nieobecny wzrokiem. Odwróciła się i podreptała małymi kroczkami do półki B. Igor był prawie pewien, że wyjęła z niej talerz, który niedawno do niej schowała i położyła go z powrotem na szczycie góry talerzy z półki A.

Poczuł, że nie może oddychać, że ciężkie powietrze na zewnątrz niczym nie dorównuje smolistej substancji, która wypełniła wnętrze chaty. Przyspieszonym krokiem wyszedł na zewnątrz, desperacko próbując przełknąć gulę w gardle. Podszedł do zatęchłej szopy i oparł się o nią plecami. Wziął głęboki oddech, ale nie był w stanie wyczuć właściwej dla niej zgnilizny. Czucie stęchłego zapachu było dla niego nieznośne, ale nieczucie było jeszcze gorsze. Miał wrażenie, że przez palce przelatują mu wszystkie elementy jego człowieczeństwa. Rozejrzał się, by sprawdzić czy zdolność zachwycania się naturą jeszcze w nim pozostała. Przed nim zachodziło słońce na tle jasnoróżowego nieba. Pocieszył go nie tyle piękny widok, a myśl, że zachodem może cieszyć się stwór, któremu odsłonił lewe oko. Może to dobrze, że miał w sobie chociaż współczucie dla rzeczy martwych. Teraz dwa potwory oglądały razem zachód słońca.

Nagle usłyszał, dochodzący z wnętrza domku, dźwięk tłuczonej porcelany.

- Coś ty zrobiła, Stawińska? – westchnęła głośno Aldona. Igor nie usłyszał już w jej głosie druzgoczącej bezradności, z którą przed chwilą szeptała „Artur”.